

KRZYSZTOF
KOTOWSKI

**CZAS CZARNYCH
LUSTER**



Oli – mojej żonie

*Nigdy nie zapominaj:
Chodzimy nad piekłem,
Oglądając kwiaty*.*

Issa Kobayashi
haiku (1823)

* Przekład – Czesław Miłosz.

MODLITWA MIYAPREGO

Jestem Miyapre. Z plemienia Kaneczua. Z wielkiej rodziny Północy. Syn Tugurów, Kulonów, Mapuczów, Bororo i wielkich przodków z Quibaya.

Mówię teraz do Ciebie, wszechpotężny Diosuyage. I do Twoich synów. I do Twoich braci.

Stoję tu, pod wielką *ceibą**. To pod nią tyle deszczów temu oddałeś mnie mojej ziemi, ludowi Kaneczua i Kueli, przy której stoję. Tu po raz pierwszy dostałem *pikadu*, by stać się mężczyzną.

Powiedziałeś, że mam nie tylko patrzeć na rosnące życie – z traw ziemi przodków Bowagindy – ale i unosić wzrok ku niebu, skąd przybyło, i śpiewać z Księżycem. Bo kiedy Słońce musi odpocząć, to Ty dajesz nam chłód nocy i widok Księżyca, a on daje siłę jaguarowi. Gdy jednak śpiewamy, On słyszy nas i pozwala się nie lękać, gdyż noc tak dobra jest jak i dzień.

My, Twoje dzieci, chodzimy po ziemi nie dłużej niż sto wielkich deszczów, ale troski nasze słysząc tu jeszcze po tysiącach... Jesteśmy mali i mamy słaby wzrok. Nasze uszy słyszą niewiele. Dlatego Ty, Diosuyage, czasem budzisz przodków, by mówili. Ich oczy na zawsze już są Twoimi, a uszy słyszą wszystko.

Dlatego więc teraz milczę, gdy największy

* Wyjaśnienie znaczenia niektórych pojęć napisanych kursywą czytelnik znajdzie w *Słowniku podręcznym* na końcu książki.

z nas – Mantu – nie może znaleźć ścieżki do domu?

Choć kiedyś przybył z za wodospadów i nie jest synem przodków Quibaya, jego serce jest jak Twoja *ceiba*, a dusza piękniejsza niż wielkie wody.

Lud, który wydał Mantu na świat, nazywa go Kapłanem. Ale on już jest nasz, a moje serce mówi mi, że nie wadzisz się z jego Bogiem. I pozwolisz mi także i jemu oddać kilka słów. Więc teraz mówię do Ciebie, co jesteś w trzech osobach i znasz ścieżki Kapłana lepiej niż najstarsze drzewa. Mówię do Ciebie, Synu Boga naszego Mantu, który umarłeś na krzyżu, by zmartwychwstać. Znajdź swojego sługę i pokaż mu ścieżkę do domu. Będę także i Tobie śpiewał z Księżycem, bo jak mówił Kapłan, jesteś dobry i potężny, kochasz każde stworzenie. Ty, Matko syna Boga, Mario... O Tobie też opowiadał mi nasz Mantu. Pozwalał mi z Tobą rozmawiać. Mówił, że patrzysz na nas i dajesz pokój. Znajdź kobietę, którą nazwaliśmy Ua. Ona także jest z ludów z za wodospadów. Odeszła z Kapłanem, by stać u jego boku.

Mówię do Was wszystkich, bogowie, bo cała rodzina Kaneczua straciła siły, by tańczyć, a nasze serca krwawią i tęsknią. Wznoszę do Was dłonie wykąpane w *ayahuasca*. Obudźcie przodków, by do nas przemówili, otwórzcie oczy wędrowcom, a ja, Miyapre z plemienia Kaneczua, oddam Wam wszystko, czego zażądacie, aby tylko nad głową Mantu i Uy nigdy nie gasło słońce...

ROZDZIAŁ 1

Luigi Balea długo milczał. Zastygł na kilka chwil, jakby przestał oddychać.

– Mistrzu... – szepnęła nieśmiało Alain Forteil, jego sekretarz i wierny przyjaciel.

Balea uniósł znacząco dłoń, żądając ciszy. Po dłuższym czasie ruszył wolno w stronę okna, by spojrzeć na ogród pod zamkiem Châtillon.

Forteil postanowił opuścić komnatę, ale Mistrz ponownym uniesieniem dłoni zatrzymał go.

– To pewne? – spytał cichym głosem, nie odwracając się od okna.

– Czekali przy wyspie trzy dni. Nikt nie wrócił. Ani Kaplan, ani Haiku, ani ten osobliwy człowiek z Polski, który im doradzał.

Balea opuścił bezradnie głowę.

– Możemy spróbować tam wkroczyć... – zaproponował sekretarz.

– Nie możemy – usłyszeli spokojny, głęboki głos Andrei Villona, który właśnie wszedł do komnaty.

– Dziękuję, że przyszedłeś. – Luigi odwrócił się od okna. – Zakładam, że słyszałeś nowiny.

– Tak, Mistrzu.

– Co radzisz?

– Nie możemy tam wkroczyć. Ta wyspa to, jak mnie powiadomiono, ostatnie miejsce, w którym przetrwała prehistoryczna kultura tak zwanych Sentinelczyków. Zakłada się, że mieszkańcy nie gościli nikogo od sześćdziesięciu tysięcy lat. Ci ludzie nie mają pojęcia o cywilizacji, kulturze masowej, polityce czy wojnach. Żyją jakby na osobnej planecie.

– Wiemy na pewno, że Kapłan, Haiku, ten tajemniczy chłopiec oraz ich doradca naukowy dotarli na wyspę – wtrącił Alain Forteil.

– To prawda. – Villon pokiwał głową. – Wcześniej przybili tam też Xavril Ganti i jego dwumetrowy przyjaciel, o którym do dzisiaj nie możemy się absolutnie niczego dowiedzieć.

– No... coś tam wiemy – mruknął, wciąż poważnie zamyślony, Balea. – Alain, powiadom pana Aleksaha Thaksina, że chcę z nim rozmawiać. Będę oczekiwał jego telefonu o siedemnastej naszego czasu.

– Tak, Mistrzu. – Forteil skłonił się i wyszedł.

– Przykro mi, Luigi – odezwał się wyraźnie przejęty Villon, gdy tylko drzwi zamknęły się za sekretarzem. – Wierzę, że może jednak żyją i jeszcze wrócą.

– Jesteś ode mnie znacznie starszy i bardziej doświadczony, nauczycielu – odparł spokojnie Balea. – Widziałeś w życiu więcej niż ja. Jestem najmłodszym przywódcą naszej rodziny w całej jej historii. Ale chyba nawet ty zastawiasz się, jak to możliwe.

– Trudno zaprzeczyć – przyznał szczerze Andrea.

– W równej walce zabicie Kapłana jest właściwie niemożliwe. Mało prawdopodobna jest też broń palna na wyspie, której nigdy nie dotknęła stopa cywilizowanego człowieka. A miał przecież przy sobie Haiku, która bywa nawet skuteczniejsza niż on, bo mniej idealistyczna. – Gorzko się uśmiechnął.

– Z wyspy nie wrócił także Ganti, nie mówiąc o tym potężnym mężczyźnie i chłopcu, którego tak konsekwentnie

szukał – dopowiedział Villon. – Jeśli więc oni nie żyją... to najprawdopodobniej wszyscy.

– Ale jeżeli tam jest tylko chmara dzikusów, to właściwie niemożliwe. – Balea wciąż kręcił głową z niedowierzaniem.

– Co zamierzasz?

– Będziemy cały czas dyskretnie obserwować wyspę. W razie konieczności nawet miesiąc, dwa. Aż uwierzę, że najpotężniejszy wojownik na świecie, jego uczennica oraz Ganti, czyli aurelita, który był do niedawna w naszych szeregach, dali się zaskoczyć przez zgraję prehistorycznych pólludzi!

Villon przesunął dłonią po swoich siwych włosach, ciężko westchnął, aż wreszcie usiadł w jednym z foteli.

– Część braci będzie cię naciskała, aby jednak tam wkroczyć – przypomniał z pewnością nie bez przyczyny.

– Posłucham twojej rady. – Balea rozwiął wątpliwości. – Dyskretnie wejście na wyspę to, jak widać, pewna śmierć. Musielibyśmy uderzyć całą armią, a to nie w naszym stylu. Szybko stracilibyśmy to, co od setek lat trzyma nas przy tak wielkiej władzy. Nie zaryzykuję zdekonspirowania bractwa i niemal otwartej wojny z czymś, czego nie umiemy ocenić, poznać ani nawet nazwać. Tam musi być coś więcej niż ci cali Sentinelczycy. A jeśli tak, to musimy czekać. Tego nauczył mnie niegdyś stary Mistrz Aureil: nigdy nie zadawaj przeciwnikowi pytań, na które nie znasz odpowiedzi, i nie wychodź na otwarte pole walki, jeśli nie wiesz o wrogu więcej, niż on sam wie o sobie.

– Jak to zorganizujemy? – spytał Villon.

– Bracia z Syjamu szukają kawałka lądu dogodnego do urządzenia bazy. To archipelag, ponad pięćset wysp, z czego większość jest małych i niezamieszkanych. Trzeba znaleźć miejsce, na które nikt postronny nie zwróci uwagi. Założyć dyskretnie bazę i prowizoryczny port dla co najmniej trzech niewielkich statków. Sentinel oficjalnie należy do Indii. Jest pod ścisłą ochroną rządu. Zabroniono komukolwiek zbliżać

się do tej wyspy, a już szczególnie przybijać do wybrzeży. Im się udało i jak mi doniesiono, raczej nie zostali zauważeni. Ale gdyby ktoś podjął tam działania nieco bardziej spektakularne, natychmiast miałyby na głowie armię, Greenpeace, Survival International i tysiące innych potężnych organizacji, które przez lata naciskały na Hindusów, by objęli ściśłą ochroną rezerwat. Ostatnia rzecz, do której tęsknię, to my na pierwszych stronach gazet. Dobra wiadomość jest taka, że w stosunkowo niewielkiej odległości istnieją niezamieszkane wyspy, które nikogo nie obchodzą. Na jednej z nich dyskretnie się ulokujemy.

– W pełni się z tobą zgadzam, Luigi. – Doświadczony Andrea Villon wiedział, że Mistrz z pewnością nie wezwał go tylko po to, by utwierdzić w przekonaniu, że obaj są nieomylni. Balea miał mu do przekazania ważną wiadomość. Myśląc tak, stary nauczyciel – jak to często bywało – także i w tej kwestii miał rację.

– Andrea, drogi nauczycielu – rozpoczął po dłuższej chwili ciszy Mistrz. – Chcę się z tobą podzielić wiedzą, która jeszcze do nikogo tu nie dotarła... i wołałbym, aby tak zostało.

– Jak sobie życzysz, Luigi – odparł Villon, skłaniając głowę. Mistrz przestał spacerować i usiadł w fotelu naprzeciwko Villona.

– Kapłan zawarł ze mną układ – powiedział ciszej niż do tej pory. – Obiecałem mu pomoc w zamian za informacje, których sami nie bylibyśmy w stanie zdobyć.

– Rozumiem – przytaknął Andrea.

– Użyłem swoich wpływów, by mógł bez przeszkód podróżować, zaopatrzyłem go w dokumenty, wysłałem naszych ludzi, żeby chronili bliskie mu osoby.

Balea wstał i podeszedł do szafki, w której stało jego ulubione wino. Spojrzał pytająco na nauczyciela, ale ten uprzejmie podziękował. Andrea był całkowitym abstynentem, o czym Mistrz doskonale wiedział. Zawsze w takich momentach jednak grzecznościowo proponował mu kieliszek czterdziestoletniego

château pétrus i zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź. Luigi nalał sobie jedną trzecią kieliszka i ponownie usiadł w fotelu.

– Ten potężny, dwumetrowy towarzysz podróży Xavrila Gantiego nazywa się Tyhron. Nikt nic o nim nie wie. Zjawił się znikąd. Nie widnieje w aktach żadnej instytucji na świecie, do których mamy wgląd. Nie jest nigdzie zarejestrowany. Do tej pory nie odnaleźliśmy jego rodziny, przyjaciół czy chociażby jakichkolwiek ludzi, którzy by go widzieli, znali lub skądkolwiek pamiętali.

Villon otworzył szerzej oczy.

– Ale nie to jest najciekawsze – ciągnął Mistrz. – Pamiętasz swój pojedynek z Xavrilem Gantim?

– Trudno zapomnieć – przyznał Andrea.

– Właśnie. Średnio zdolny uczeń pokonał mistrza fechtunku. – Luigi głęboko westchnął. – Niełatwo w to uwierzyć. Tyle tylko, że to nie był uczciwy pojedynek, drogi nauczycielu.

Villon rzucił natychmiast Mistrzowi pytające spojrzenie.

– Ganti był tylko narzędziem. Naprawdę walczyłeś właśnie z Tyhronem.

– Boże mój... – jęknął Andrea. Pogładził siwe włosy i zamknął na chwilę oczy. – Poproszę o kieliszek wina.

Tym razem Balea nieco się zaniepokoił, ale mając pełne zrozumienie dla swego dawnego nauczyciela, bez wahania podszedł do szafki, wyjął kolejny kielich, napełnił go w jednej trzeciej i podał Villonowi.

– Ten... ten ktoś potrafi wpływać na ludzi. I to w dość konkretny sposób – kontynuował Mistrz. – Nie jest w stanie ulepszyć techniki tego, komu pomaga, ale umie... przyspieszyć jego ruchy, a to daje fenomenalną przewagę nad przeciwnikiem.

Villon odważnie pociągnął łyk wina.

– Trudne do uwierzenia, jednak widziałem to własne oczy.

– Trudne, bo w naszym świecie niespotykane czy raczej... rzadko spotykane. Ale Tyhron nie pochodzi stąd.

– Nie jest człowiekiem?!

– Tego nie powiedziałem. Ale nie jest taki jak my. I urodził się w innym świecie. Nie tym.

– Luigi... wiesz to od Kapłana?

– Tak. Mam... czy raczej: miałem z nim ograniczony kontakt, dlatego dane są nieścisłe. Zresztą Kapłan sam, jak sądzę, nie ma jeszcze dokładnych informacji. Wiemy tylko, że zarówno Tyhron, jak i chłopiec, którego prześladowuje, nie są stąd. Być może właśnie jest to kwestia nie tyle przestrzeni, ile czasu.

– Jedno z drugim się wiąże.

– Nie mam punktu zaczepienia. Ten człowiek jest dla mnie niczym czarna dziura. Praktycznie nie możemy się dowiedzieć niczego o jego pochodzeniu. Znam teorie związane z czasoprzestrzenią tylko z prac Einsteina, wcześniej z Kaluzy, Kleina trochę Minkowskiego. Chyba że chodzi tu o pojęcia z rzeczywistości w rozumieniu Hugh Everetta czy teorii superstrun. Bo dalej to już tylko czysta fantastyka.

– Nie wiem tyle o fizyce teoretycznej, co ty. Wiem tylko, że jeśli ten Tyhron potrafi tak wpływać na ludzi, to ma przeogromną moc!

Balea wstał z fotela i swoim zwyczajem postanowił się przespacerować po komnacie.

– To szokująca dla nas zdolność, ale nie przesadzałbym – rzekł wyjątkowo spokojnie. – Gdy jest blisko osoby, na którą oddziałuje, niemalym podobno wysiłkiem zagina czas płynący dla niej, choć to kwestia ułamków sekund. Z twojego punktu widzenia to wystarczy, byś przegrał pojedynek, ale postronny obserwator może tego nawet nie zauważyć. – Mistrz zatrzymał się na chwilę, by pomyśleć. – Kapłan był oszczędny w słowach, ale obawiam się, że znacznie zdolniejszy jest jednak ten chłopiec.

– O tym samym pomyślałem – przyznał Villon. – Konsekwencja, z jaką prześladową dzieciaka, to jedno, a fakt, że Tyhron od tak dawna nie jest w stanie go pojmać, to drugie.

Mistrz przytaknął skinieniem głową.

– Dlatego, mój drogi nauczycielu, nadal wierzę, że istnieje ogromna szansa na to, że Kapłan powróci, a wszystko dzieje się zgodnie z jakimś przemyślanym planem.

– Może tylko szkoda, że nie był uprzejmy nam go wyjawić. Zawsze ukrywa wszystko do ostatniej chwili!

Balea uśmiechnął się szeroko.

– Andrea, wierny przyjacielu... czy nie jest w tym trochę podobny do nas?

Do komnaty ponownie wszedł Alain Forteil. Zamknął za sobą drzwi, ale przystanął na chwilę, by się upewnić, czy nie przeszkadza. Luigi przywołał sekretarza.

– List – oznajmił, podając na tacy kopertę.

– Przeczytam, jak skończymy naradę.

– Przebadaliśmy go, jest bezpieczny – rzekł uspokajająco Alain. – W środku znajdują się źdźbło trawy i kilka ziarenek zboża.

Mistrz natychmiast sięgnął po przesyłkę.

Andrea Villon zamarł na chwilę, bo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kim jest autor listu. Luigi spokojnie rozciął kopertę. Wysypał na tacę kilka ziaren pszenicy, wyjął kawałek pożółkłej już nieco trawy, a następnie wydobył powoli, jakby w obawie przed zniszczeniem przesyłki, kawałek ozdobnego papieru.

– Zawsze wam mówiłem, że jest nie tylko romantyczny, lecz także sentymentalny do bólu – mruknął nie bez ironii Balea.

Stary nauczyciel nawet nie drgnął. Był pochłonięty myślami na temat wieści przesłanych przez Kapłana. Mistrz rozłożył kartkę, jednak zamiast uważnie przeczytać, szybko przeniósł wzrok na okno, co zdradziło rozczerowanie, a nawet – rzadkie u Luigiego – rozdrażnienie.

– Zagadki, zagadki, zagadki... jakże by inaczej... – westchnął i od niechcenia podał papier Villonowi.

Andrea, gdy tylko ujrzał treść, wyraźnie odetchnął z ulgą. Dyskretnie, ledwo zauważalnie, cicho, po swojemu, ale dla Balei – wyraźnie.

– Coś z tego rozumiesz? – spytał Luigi, wyraźnie zdziwiony reakcją nauczyciela.

– Oczywiście.

Mistrz wyciągnął rękę po list, aby ponownie na niego zerknąć.

– R.0000576YoLIQUI. Septem Montes Silvae 379 – przeczytał na głos. – Wspaniała wiadomość, Andrea. Może trochę jak dla mnie zbyt postmodernistycznie podana, ale skoro tak cię ucieszyła, ja również jestem szczęśliwy – zakończył zgryźliwie.

Villon jednak nie tylko nie dziwił się temu, co było napisane w przesyłce, lecz także nawet nie był specjalnie zaskoczony rozdrażnieniem znanego z opanowania Balei. Mało było rzeczy lub spraw, na których tak Mistrzowi zależało jak na informacjach od Kapłana. Zwłaszcza na temat, który właśnie omawiali.

– Wiesz co, Andrea? – Luigi jakby celowo oddalał moment, w którym zażąda od nauczyciela wyjaśnień.

– Czasem czuję się tak, jakby Krzysztof Lorent, nasz ukończony Kapłan, jakimś cudem był wciąż obecny wśród nas. I nas stale obserwował. Jakby wiedział, czego oczekujemy, bo chce jak najcelniej trafić, wyprowadzić z równowagi i znów być górą! – Balea założył ręce do tyłu i zaczął spacerować po komnacie. – Zobacz, rozmawiamy o jego zniknięciu na Sentinelu, o przeuroczej Haiku, która wyróżnęła swego czasu dziesiątki aurelitów w zemście za krzywdy, których doznała od zdrajcy Trantignana, i nagle... jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki... otrzymujemy od niego list. Właśnie w tym momencie! Kiedy przyszedł?

– Jakąś godzinę temu – odpowiedział posłusznie Forteil. – Zgodnie z naszymi przepisami został poddany badaniu na obecność niebezpiecznych substancji.

– Jak wyglądał posłaniec? Człowiek w kapturze, a może Indianin?

– To nasz zwykły listonosz. Przychodzi codziennie do domu strażników.

Villon odwrócił się do sekretarza.

– Alain, mógłbyś nas zostawić samych? – poprosił spokojnie.

– Zostań, Alain! – rozkazał Luigi. – Nauczycielu... – Mistrz przyjął nieprzyjemnie oficjalną minę. – Mógłbyś nam zdradzić, co rozumiesz z treści listu?

– To numer katalogowy – odparł jak zwykle spokojnie Villon. – On nas odsyła do księgi.

– Księgi...

– Tak. Bardzo starej księgi.

– Jakże by inaczej. A przy okazji... mamy ją?

– Mamy.

Luigi otworzył szeroko oczy.

– Chcesz powiedzieć, że mamy w Châtillon księgę, do której odsyła nas Kapłan i w której być może znajdziemy rozwiązanie zagadki?

– Nie – zaprzeczył nauczyciel. – Mamy najprawdopodobniej tę księgę, ale nie w Châtillon. Jest na to zbyt stara.

– W naszej bibliotece mamy oryginały rękopisów z czasów Dantego!

– Ta jest starsza. Być może znacznie starsza.

Nastąpiła kłopotliwa cisza.

– Alain... – odezwał się po dłuższej chwili Balea. – Czy jednak mógłbyś nas opuścić na kilka chwil?

– Oczywiście, Mistrzu. – Sekretarz szybko wyszedł z komnaty.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?! – spytał Luigi w sekundę po tym, jak za Fortielem zamknęły się drzwi. Tym razem nie ukrywał już gniewu. – Dlaczego nic nie wiem o sprawach, które ty rozpoznajesz w mig na kawałku papieru? Dlaczego nic nie wiem o księgach, które ty rozpoznajesz już po numerze katalogowym?! Od ponad pięciu lat stoję na czele Rady Aurelickiej, najstarszego bractwa na Ziemi!

– Luigi, co się z tobą dzieje?! – Villon zmarszczył brwi. – Jestem od ciebie starszy o niemal trzydzieści lat, znam cię prawie od urodzenia i nigdy cię takim nie widziałem! W obecności sekretarza zdradzasz gniew i zniecierpliwienie! Podważasz moją sugestię, aby nas opuścił, gdy chcę ci zdradzić najskrytsze tajemnice znane garstce ludzi! Nie tak wspólnie ze świętej pamięci Mistrzem Aureilem nauczyliśmy cię rządzić naszą rodziną, aby zachowała dawną potęgę.

– Alain to także wierny przyjaciel, a sprawy, o których mówimy, być może są najważniejszymi, z jakimi spotkaliśmy się w życiu. Obaj o tym wiemy – odparł już spokojniej Balea.

– Opanuj się i posłuchaj swojego dawnego nauczyciela! – kontynuował chłodno Villon.

– Ojciec Aureil potrafił przewidywać wiele zdarzeń, ale raczej nie zdawał sobie sprawy, że to ja zastąpię go na czele Rady. – Mistrz był już zupełnie opanowany. Wyważony ton przywodził na myśl dawnego Baleę. – Uczył mnie wielu rzeczy, ale tych spraw musiałem nauczyć się sam.

– Jakże się mylisz, Luigi. – Andrea pokręcił głową z niedowierzaniem. – On zawsze wiedział, że to ty będziesz Mistrzem. Nie Iosif Punin, nie Luc Trantignan. Sięgnąłeś po władzę wcześniej, ale to nie oznacza, że w swoim czasie byś jej i tak nie otrzymał. Byłeś jego najzdolniejszym, choć przybranym synem.

– Dlaczego więc nie wiem tego, co zaraz pewnie mi powiesz?

– Na Boga! Bo obaliłeś starą Radę siłą! – Villon nie wytrzymał. – Złamałeś tradycję! Jesteś najmłodszym Mistrzem w całej naszej historii od czasów Aureliusza Marcellina, czyli od czwartego wieku tej ery. Wcześniej nowego Mistrza wybierano na całe lata przed faktycznym objęciem władzy. Szkolono go, przygotowywano, powoli obarczano największymi tajemnicami... jak wiesz: nie zawsze zaszczytnymi. Ty wybrałeś drogę Adera Rodego, który przekonał cię do przewrotu. Być może ocaliłeś przez to potęgę bractwa. Może miałeś znacznie

nowocześniejsze spojrzenie, ale fakt jest faktem: tradycję zastąpił biznes. Dziś jesteśmy przede wszystkim potężnym przedsięwzięciem biznesowym. Dawniej rządziła idea.

– Kochałem ojca Aureila – wyznał cicho Balea, podchodząc do okna.

– Ale go obaliłeś, Luigi. I nie zdążyłeś poznać całego ogromu tajemnic, a nawet kwestii dotyczących tajnych zwyczajów i tradycji.

– Przecież spędziłem tu całe życie, Andrea! Znam każdy kamień Châtillon.

– Ale nie wiesz, co jest napisane na tej kartce... – Villon ściszył głos, jednak te słowa chyba najmocniej dotknęły Miśtrza w trakcie całej rozmowy.

– Jak wiele jest jeszcze spraw, o których wiedział Aureil, a których ja nie znam? – spytał spokojnie, choć wyjątkowo chłodno Balea.

– Nie mam pojęcia – przyznał nauczyciel. – Wiesz wszystko, co ci potrzebne. Nie interesujesz się tradycją. No... może z wyjątkiem wiedzy Kapłana. Jesteś dobrym przywódcą, sprawnie zarządzasz bractwem. Przemoc zastąpiły rozsądek i biznes. Kształcimy o połowę mniej rycerzy niż kiedyś. Jak przez całe wieki nadal nie sięgamy po broń palną, ale już znacznie rzadziej sięgamy też po nasze tradycyjne narzędzie, czyli miecz. Częściej po komputer. Nie wszystkim się to podoba, choć – masz tego świadomość – ja akurat zawsze będę po twojej stronie. Podobne zdanie ma zdecydowana większość. Twoja władza jest silna i trwała. Ale kiedy w Japonii w połowie dziewiętnastego wieku zabroniono samurajom nosić miecze, też nie byli zachwyceni.

– Wiem – przyznał Balea. Wypił nieco głębszy niż zwykle łyk wina i ponownie zaczął spacerować po komnacie. – Co to za księga?

– Nie wiem. Rozpoznaję tylko sygnatury. I wiem dzięki nim, gdzie powinna się znajdować.

– R.0000576YoLIQUI..... – powtórzył Balea. – *Septem Montes Silvae* 379...

– Rzym. Opuszczony Księgozbiór. Przez niektórych strażników nazywany nawet nieco pretensjonalnie jak na mój gust „Zdradzonym Księgozbiorem”. Nasza tajna biblioteka. Jedna z trzech oprócz tej w Châtillon.

– W Rzymie?

– Prawie. Dwadzieścia kilometrów od Rzymu, w Alteriale. Głębokie podziemia zamku Giovanniego DiPoleniego. Obecnego strażnika.

– Strażnika?

– Tak. Wielkiego Strażnika Biblioteki. Wszystko, co robią on i jego ponad stu ludzi, służy ochronie naszych zbiorów.

– Kto go mianował?

– Ty. Na jednym z tysiąca dokumentów, które podpisujesz codziennie, nie zawsze nawet wiedząc, czego dotyczą. Od tego masz Forteila, mnie, Jeana, Pierre’a. Ludzi, którym ufasz. Nie martw się, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie zna połowy tajemnic CIA czy FBI. Ty trzymasz w swoich rękach najważniejsze sprawy: politykę, biznes, nasze interesy na całym niemal świecie. A to tylko mól książkowy, chociaż każdy członek jego rodziny oddałby życie za ochronę tych zabytków. Zresztą ród DiPolenich zajmuje się biblioteką od ponad pięciuset lat. Ty podpisałeś tylko prolongatę dla Giovanniego, który siedzi w tym dłużej, niż ty żyjesz. Biblioteka jest w dobrych rękach.

– Gdzie są dwie pozostałe?

– Jedna w okolicach Matruh w Egipcie, druga pod Stambułem. Ta pod Rzymem jest najcenniejsza.

– Mogę wiedzieć, ile wydajemy na to pieniędzy?

– O ile pamiętam, budżet roczny na bibliotekę DiPolenich to... około pięciu milionów euro.

Balea opuścił bezradnie ręce.

– No rzeczywiście... zdecydowanie „zdradzony księgozbiór” – jęknął, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Luigi... tam są rękopisy sprzed ponad tysiąca lat. Niektóre sięgają czasów Chrystusa. Wymagają najnowocześniejszego sprzętu, jaki tylko może zaoferować współczesna nauka. Garstka ludzi wie o tym, że w tamtych podziemiach ukryto fragmenty *Ksiąg wschodnich masoretów*.

– *Brunatne apokryfy*?!

– Właśnie. Poza tym oryginały ksiąg Saxo Grammaticusa, Thietmara, a nawet Aureliusza Marcellina!

– Dobrze! – Luigi machnął ręką. – Wrócimy kiedyś do tego tematu. Teraz mnie interesuje, o co mogło chodzić Kapłanowi w tym liście?

– Być może wskazując tę księgę, usiłuje nas naprowadzić na coś ważnego, a nie miał warunków, aby przekazać to wprost.

– Jasne. – Balea pokiwał głową. – On nigdy nie ma warunków. Każ przygotować samolot, poczytamy sobie we Włoszech. Ale to za chwilę. Co jeszcze możemy wywnioskować z tego, co tu nawypisywał?

– To dokładny numer katalogowy charakterystyczny dla tego księgozbioru. Kapłan poza tym użył tradycyjnie niegdyś stosowanej nazwy. *Septem Montes* to po prostu po łacinie siedem wzgórz, czyli Rzym. *Silva* to las. Kapłani Wiedzy w swojej symbolice używali lasu jako symbolu wiedzy zawartej w księgach. Zresztą o tym akurat wiesz, znasz łacinę.

– Wolę twoją. Jest znacznie... jak by to powiedzieć... praktyczniejsza. Chociaż swoją drogą, to jedyne, co z tego listu zrozumiałem. Podejrzewam, że 379 oznacza numer strony, od której mamy zacząć?

– Tak mi się wydaje. To najprostsze wytłumaczenie.

– Coraz mniej go lubię. Zawsze mnie drażnił, ale teraz przeszedł samego siebie. Załatw ten samolot, chciałbym, aby był gotowy za godzinę. Porozmawiaj zamiast mnie z Thaksinem. I zadzwoń do tego... jak mu tam?

– Giovanni DiPoleni. Arystokrata z ponadsześćsetletnią dokładnie spisana tradycją rodzinną.

– Wspaniale. Niech nam przygotuje coś wykwintnego na kolację. Możliwe, że zostaniemy u niego przez pewien czas.

– Było u mnie dwóch aurelitów – powiedziała doktor Aleksandra Sambierska, gdy tylko otworzyły się drzwi.

Stał w nich gospodarz, o fryzurze może chwilowo zaniedbanej, ale znacznie bujniejszej, ciekawszej i bardziej wyrafinowanej artystycznie nawet od tych noszonych niegdyś przez słynnych Sex Pistols, Depression czy Execute. On sam słynny z pewnością nie był, ale dorównywał starszym kolegom duchowym imponującym zacięciem kolorystycznym ubioru, niezależną – widoczną już na pierwszy rzut oka – artystyczną dumą oraz bezczelnym, ale i ujmującym spojrzeniem. Był też niewiarygodnie chudy. Raczej nie przekroczył jeszcze trzydziestki, a jeśli nawet – wygląd tego nie zdradzał. Gospodarzowi, zwanemu przez bliższych i dalszych przyjaciół Bzdetem (na inne imiona czy nazwiska nie reagował), towarzyszyła jego uroczą małżonka – Cipucha. Mimo że Sambierska raczej nigdy nie miała specjalnych problemów z nadwagą, zawsze zazdrościła obojgu przyjaciółom ich sylwetek. I choć była lekarką, a oni prowadzili zdecydowanie bardziej od niej niefrasobliwy tryb życia, cieszyli się wspaniałym zdrowiem. Niewykluczone, że lepszym niż ona.

– Wejdz – rzekł pośpiesznie Bzdet, otwierając szeroko drzwi.

Pora była dość późna. Dochodziła północ. Gospodarze zazwyczaj starali się żyć w zgodzie z naturą – wstawać o wschodzie, a kłaść o zachodzie słońca. Czasem jednak wyznaczali sobie „dni dzikości serca”; wtedy natura i zdrowe prawa przyrody schodziły na plan dalszy. Czas nieokielzanej balangi zaburzał wtedy nieco rytm dobowy organizmów, ale – jak już wspomnieliśmy – na razie nie wpływał źle na ogólną formę tych czcicieli nie tylko „wszechwolnego jestestwa ducha”, lecz także „pierwotnej harmonii wszechrzeczy”.

Dziś jednak Ola Sambierska zerwała swoich przyjaciół z łóżka, bo – jak bez trudu odczytała z ich wyrazów twarzy – z pewnością kilka minut temu spali. Bzdet, co lekarka z łatwością wychwyciła, przez kilka chwil miał nieco zaburzone poczucie rzeczywistości i potrzebował trochę czasu, aby doprowadzić się do ładu. Ponadto jako bardzo poważny filozof ideologii punkowej nie zwykł pokazywać się gdziekolwiek „nieuczesany”, a w tej właśnie chwili jego – wspaniały na co dzień – zielono-żółto-niebieski czub był w opłakanym stanie. Cipucha, prezentująca raczej styl (cytat samej właścicielki fryzury) „dupniętej trawy”, miała mniejszy problem z codziennym wyrażaniem filozofii „krzyku wołającej o łyk powietrza marchewki”. Jej głowę zdobiły po prostu sztywno postawione zielone włosy (będące metaforą twórczej agresji życiowej natki), które rzadko wymagały szczególnej troski. Nie wiadomo, jak Cipucha to robiła, ale nawet teraz, świeżo po zerwaniu się z łóżka, „dupnięta trawa” stała na wysokości zadania.

– Co jest grane, Ola? – Rzeczywistość w oczach Bzdety zaczynała zdecydowanie już łapać ostrość.

Cipucha zamknęła drzwi wejściowe i zawisała nad Sambierską znacząco, gdy tylko lekarka usiadła na krześle.

– Przyszli po przyjacielsku i na szczęście podczas nieobecności mojego starego, ale i tak kapcie mi spadły na ich widok.

– Problemy z Krzysztofem i resztą?! – spytał szybko punk.

– Tak. – Ola głośno westchnęła. – Na razie nikt nie wrócił z wyspy.

– Ale chyba... – zaczęła płaczliwie Cipucha.

– On wie, co robi. – Bzdet nie dał jej dokończyć. – Nie ma co wpadać w panikę.

Nie wyglądał już na śpiącego. Nie wyglądał także na zaniepokojonego, ale lekarka dobrze wiedziała, że w istocie wiadomość zrobiła na nim nie mniejsze wrażenie niż na niej.

– Ale dlaczego nie dał do tej pory znać?! – nie ustępowała Cipucha.

– Czy ty się dobrze czujesz? – mruknął niecierpliwie w jej stronę punk. – To wyspa Sentinelczyków na środku wielkiego morza. Nikt obcy tam nie był od sześćdziesięciu tysięcy lat. Nie sądzisz, że mogą mieć małe kłopoty z Internetem i telefonami?

– Mimo wszystko się denerwuję – wtrąciła Ola. – Minęło już kilka dni. Jeśli nie dają żadnego znaku życia, coś musi być nie w porządku.

Bzdet usiadł na krześle naprzeciwko Oli, prosząc wzrokiem żonę, by uczyniła to samo.

– A reszta? Nie mówię o Czesiu i Haiku.

– Ani Tyhron, ani Yovita, ani nikt inny nie odpłynął z wyspy. Kompletna cisza. Tak mówili ci aurelici.

– Co oni nagle tacy opiekuńczy? – Cipucha się skrzywiła.

– Zashuga Krzysztofa. Balea mu to przyrzekł. Pilnują naszego bezpieczeństwa.

– To, że nikt inny na razie nie uciekł z wyspy, trochę mnie uspokaja – bąknął pogrążony w myślach punk. Wyraźnie pośpiesznie rozważał wszystkie możliwe rozwiązania.

– A co w tym takiego uspokajającego? – spytała Sambierska.

– Zastanówcie się. Kto tam jest? Krzysiek, Yasuko, Yovita, Tyhron, ten cały Ganti... sami wymiatacze. Każde z nich starczyłoby za całą armię. Naprawdę wierzycie w to, że banda prehistorycznych przygłupów mogłaby komukolwiek z nich zrobić krzywdę?! Co innego, gdyby Tyhron i ten aurelicki zdrajca wrócili. Ale wyspa milczy. Nic się nie dzieje.

– I co, Mopiku? – jęknęła Cipucha. – Przez tydzień siedzą tam i jarają faję pokoju z tymi... no, jak im tam?

– Sentinelczykami – pomogła Ola.

– No właśnie.

– Z jakiegoś powodu to jest wyjątkowe miejsce – bronił swojej koncepcji Bzdet. – Przerabialiśmy tę kwestię tysiące razy. Nie wiemy tylko dlaczego. Z jakiegoś powodu Yovita, choć uciekał tak długo przed Tyhronem, zaryzykował popłynięcie z Krzyśkiem, Yasuko i Czesiem. A tam już był jego śmiertelny

wróg! Tyhron i Ganti tylko na niego czekali. Rozwiązanie moim zdaniem jest więc jedno. Tam tkwi coś nie z naszego świata, tylko z ich – Tyhrona i Yovity. Być może obaj muszą to mieć, aby... na przykład wrócić do swoich?

– Trochę to science fiction. – Ola pokręciła głową.

– Tak? Zapomniałaś już, co wyniknęło z badań Yovity? Bo ja do dzisiaj pamiętam, jak ci szczena opadła, gdy zobaczyłaś wyniki rezonansu, prześwietleń i badań krwi tego dzieciaka. Wszyscy wiemy, że nie był stąd. Może jakimś cudem i z jakiegoś powodu teraz on zabrał Krzyśka, Yasuko i Czesia do siebie?

– Po grzyba? – dociekała bezpretensjonalnie Cipucha.

– Bo taka, kurwa, mogła być potrzeba!

– Jakoś nie widzę Krzysztofa chętnego do podróży w czasie. – Sambierska westchnęła powątpiewająco.

– A widzisz go, jak opuszcza Yovitę i resztę w potrzebie? – drażył wciąż uparcie Bzdet.

Lekarka przez pewien czas milczała.

– Macie coś do picia? – spytała po chwili.

– Znieczulenie?

– Tak jest.

– Zadzwoń do profesorka, że śpisz u nas. Jedną noc bez żony wytrzyma. A my coś wymyślimy do rana. Jestem pewien, że Krzysiek ma wszystko pod kontrolą. To w końcu, do cholery, legendarny Kapłan Wiedzy! Boją się go nawet aurelici!

Chociaż lot nie był zbyt długi, Luigi Balea wciąż nie tryskał humorem. Milczał przez całą podróż, odmówił zjedzenia posiłku, nie spróbował nawet przygotowanej dla niego kawy. Poprosił za to uprzejmie, aby zarówno Alain Forteil, jak i Andrea Villon dali mu spokój oraz trzymali od niego z daleka towarzyszącą im obowiązkowo czwórkę aurelickich strażników.

Zaraz po wylądowaniu w Rzymie, bez specjalnie wylewnych powitań, rozkazał wsiąść całą ekipę do samochodów

i jechać jak najszybciej na miejsce. Trzy czarne limuzyny volvo ruszyły więc, nie zwlekając, w stronę zamku DiPolenich, w którym, jak obiecali wysłannicy Wielkiego Strażnika Biblioteki, powinni się znaleźć najdalej za czterdzieści minut. Na czele kawalkady jechali oczywiście gospodarze w postaci quadrenty aurelitów wysłanych po Wielkiego Mistrza na lotnisko przez – mimo wszystko nieco zaskoczonego nagłą wizytą – *marchese*. W drugim samochodzie podróżowali tylko Balea, Villon oraz Forteil. Luigi zażądał, by auto poprowadził jego sekretarz. Chciał wymienić kilka zdań wyłącznie w towarzystwie najbliższych współpracowników. W trzecim jechali ochrona osobista Mistrza i wyrzucony przez Baleę kierowca drugiej limuzyny.

Andrea Villon od dłuższego czasu przemyślał dwie rzeczy. Po pierwsze, jak możliwie najszybciej oczyścić nie najlepszą atmosferę; po drugie, jak uniknąć jeszcze większego rozsierdzenia szefa. Bo musiał Balei zakomunikować, że oprócz faktów, o których przez tak długi czas nie był powiadamiany, u DiPoleniego może zastać coś, co zdecydowanie bardziej go zirytuje.

– Stąd pochodzisz, Luigi... – rozpoczął dość sentymentalnie, wreszcie przerywając nieznośną ciszę.

– Co ty powiesz? – mruknął, nie odwracając się od okna, Balea.

– Próbuję jakoś rozgonić chmury – przyznał szczerze Villon. – Nie możemy wjechać z takimi minami do zamku DiPolenich. Mimo wszystko to jeden z najstarszych rodów we Włoszech. Powinniśmy im okazać należyty szacunek.

Mistrz odwrócił się i zawiesił wzrok na Andrei.

– Rozdrobnienie Włoch na dziesiątki państewek przez wieki powodowało, że więcej tu było uprzywilejowanej szlachty niż kogokolwiek innego – burknął zmęczonym głosem. – Kolejni papieże, do których w większości należały te ziemie, rozdawali tytuły i lenna częściej niż dzisiaj błogosławieństwa,

szczególnie swoim licznym ówczesnym krewnym. Sabaudowie, jak wiesz, po zjednoczeniu też sobie raczej nie żalowali. Nie czaruj mnie więc tradycją arystokracji tego kraju, zwłaszcza tutejszymi sierocińcami. Byłem Włochem przez pierwszych pięć lat swojego życia. Gdy ojciec Aureil zabrał mnie stąd, stałem się Francuzem i pozostaję nim do dziś. Ale przede wszystkim jestem aurelitą. Tak, czasem miło tu wpaść i zobaczyć watykańskie mapy, pospacerować po Chiaramonti czy Forum Romanum. Nie traktuj mnie jednak jak turystę, szczególnie gdy chcesz mi powiedzieć coś, co jak sądzę, do reszty mnie rozdrażni.

– Chcę cię przygotować. – Głos Villona stwardniał.

– Mów.

– *Marchese* może nie chce udostępnić nam ksiąg.

– Słucham?!

– Zobowiązuje go do tego nasze prawo. Każdy, kto chce otworzyć którykolwiek z dokumentów Bibliotheca Desolo, musi mieć specjalne upoważnienie od Rady. Nawet Wielki Mistrz.

– Kto wprowadził to zarządzenie?!

– Mistrz Aureil.

Luigi ukrył twarz w dłoniach.

– Chryste, od prawie sześciu lat walczę z naszą biurokracją, tylko jak mam cokolwiek zdziałać, jeśli nawet nie wiem, co jest do zrobienia?! Ile mnie jeszcze czeka niespodzianek, zanim dojadę do dziadka, o którego istnieniu dowiedziałem się zaledwie kilkanaście godzin temu?!

– Istniejemy od 326 roku naszej ery. Jeszcze kilka wiosen, a wybije nam tysiąc siedemsetna rocznica. Sześć lat to doprawdy niezbyt długi czas, drogi Luigi, na wytrzebiecie biurokracji nagromadzonej przez siedemnaście wieków.

– Nie drwij – ostrzegł groźnie Mistrz. – Nie jestem w nastroju.

Villon natychmiast zamilkł.

– Co radzisz, drogi Nauczycielu? – spytał po dłuższej chwili już spokojniejszym tonem Balea.

– Skłamać.

Milczący do tej pory Alain Forteil nieśmiało obejrzał się z pierwszego siedzenia w ich stronę.

– A mógłbyś nieco rozwinąć temat? – Luigi nie zwrócił uwagi na sekretarza. Forteil szybko zresztą odwrócił głowę, ponownie skupiając się na prowadzeniu limuzyny.

– Dostęp do zbiorów biblioteki uzyskuje się na życzenie Rady lub... żądanie Kapłana.

– Nie mogłeś tak od razu?

– Mamy trochę szczęścia – ciągnął Andrea. – Kapłani Ścieżki Wiedzy rodzą się raz na kilkaset lat, a my akurat mamy przyjemność znać osobiście Krzysztofa Lorenta, który był tak miły i urodził się w naszych czasach. *Marchese Giovanni DiPoleni* ma tego świadomość.

– Co wie o Kapłanie?

– Że się pojawił.

– I?

– I że stoi po twojej stronie. W końcu to on pomógł ci dojść do władzy.

Balea ponownie zawiesił na Villonie zniecierpliwiony wzrok.

– Nie musimy wzbogacać jego wiedzy zbędnymi szczegółami – tłumaczył z lekką jednak niepewnością w głosie Andrea.

– A jeśli już ktoś przed nami „wzbogacił jego wiedzę” w te zbędne szczegóły? – spytał praktycznie Luigi.

– Zaryzykujemy i użyjemy twojego autorytetu – stwierdził twardo Villon. – Inaczej mógłbym nie doczekać chwili, w której Rada się zbierze i wydusi z siebie takie pozwolenie. Nie jestem już aż tak młody.

Udało mu się wreszcie rozbawić Baleę. Mistrz uśmiechnął się, po czym skinął lekko głową, następnie zaś z powrotem odwrócił się do okna.

– Jak daleko do zamku? – zaciekawiał się, już nieco rozpogodzony.

Villon sięgnął do kieszeni po mapę.

– Podejrzewam, że już dojeżdżamy. Tak przynajmniej wynika z planu.

– *Marchese DiPoleni* ma rodzinę?

– Nie jest rycerzem aurelickim, tylko wysokim urzędnikiem. Ma żonę, dwóch synów i trzy wnuczki.

– Ani jednego wnuka? – Villon pokręcił głową.

– Pewnie za karę. – Luigi znów poweselał. – Cholerny mól książkowy.

– Zgodzi się. – Andrea zapewnił Mistrza. – Musi się zgodzić.

– Dla swojego własnego dobra – wyszeptał Balea takim tonem, że nawet Villon wolał przez chwilę pomilczeć.

**Więcej na
www.5why.pl/kotowski**